

Kaliszewski Jakub

Teofania

Z „Fahrenheit”

Mały był, brzydki, jakiś taki nieforemny, a jak się pod światło spojrzeło - to prześwitywał tu i ówdzie. Nidorobiony, po prostu.

Leżał w kącie, na stercie śmieci zwianych przez wiatr pod ścianę wieżowca. Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że jest nadprzyrodzony. Jakaś taka poświata wokół niego jaśniała, a i atmosfera zrobiła się podniosła, gdy przechodziłem obok, jak w kościele. Anioł jaki, czy co? Ale na anioła za brzydki był. I ta atmosfera - niby uroczysta, ale tak, jakby czymś trochę zalatywało.

- Ej, masz pan co zapalić? - zagadnął znieca.

Zaskoczony nieco, wyciągnąłem paczkę papierosów i posunąłem mu ją. Mniej mnie zdziwiło jego pytanie niż fakt, że papieros sam wysunął się z pudełka, pofrunął wprost do jego ust i zapalił. W końcu nadprzyrodzony, to i co dziwnego.

Stałem tak chwilę, zastanawiając się co dalej. W końcu nie na co dzień spotyka się nadprzyrodzoną istotę na kupie śmieci na ulicy.

- Dobry z siebie człowiek - stwierdził w końcu, zaciągawszy się porządnie. - Do kościoła chodzisz? - spytał, a mi się zdało, że pytanie zabrzmiało bardziej jak smutne stwierdzenie faktu.

- Akurat nie - odparłem zgodnie z prawdą. - Niespecjalnie.

- Doprawdy? - ożywił się nagle. - Ale w Boga wierzysz?

Wzruszyłem ramionami, nie wiedząc, jaka odpowiedź zadowoliłaby nadprzyrodzonego. A nuż z góry go przysłali, żeby mnie sprawdził? Ale on widać wyczuł moją niepewność, bo ucieszył się jeszcze bardziej.

- To ja się może przedstawię - powiedział. Wstał, otrzepał się, wyciągnął skądś wizytówkę i wcisnął mi w dłoń.

GENETYCZNY ABSOLUT

Istota transcendentna do wynajęcia

Świadczy usługi w zakresie:

- Praprzyczyna wszystkiego

- Cuda i objawienia

- Porady psychologiczne

Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Porady psychologiczne... - przeczytałem na głos. Trzeba przyznać, że trafił w sedno. Właśnie czegoś takiego potrzebowałem, a nie ufałem jakoś lekarzom. Zawsze uważałem, że jedyne, co potrafią robić, to wyciągać pieniądze.

- Dużo pan sobie liczy, panie... Genetyczny? - spytałem, zerkając jeszcze raz na wizytówkę w poszukiwaniu nazwiska.

- Proszę mi mówić Glut. Wszyscy do mnie tak mówią. - Absolut skłonił się lekko. Odkłoniłem się - Moje usługi są, można rzec, niszowe... panuje spora konkurencja... żeby przetrwać, musiałem ograniczyć moje wymagania do minimum.

- A więc...? - zawiesiłem wyczekująco głos

- Wystarczy, żeby pan we MNIE uwierzył - stwierdził, kładąc nacisk na słowo "mnie".

- To wszystko? - zdziwiłem się

- Tak, to mi wystarczy. Jak pan widzi, jest to chyba bardzo konkurencyjna oferta. Nie wymagam żadnych rytuałów, ofiar, medytacji... nic z tych rzeczy. Wystarczy zwykła, codzienna wiara.

- Taak, to rzeczywiście kusząca oferta.

Zastanowiłem się przez chwilę. Glut wyglądał, mimo swojej niedopracowanej formy, na uczciwe bóstwo. Najwyraźniej niezbyt powodziło mu się ostatnio w Ponadczasowej Egzystencji, skoro znalazł się na śmietniku. To świadczyło trochę przeciwko niemu. Widząc moje badawcze spojrzenie, zawstydził się nieco.

- Proszę się nie sugerować ... - rzekł niepewnie, rozkładając ręce i pokazując wokół. - Mój poprzedni wyznawca dość nagle przestał potrzebować moich usług, a ja nie miałem żadnych oszczędności. Trudno o nie w tym fachu, jeśli jest się na tak niskiej pozycji. Ale - wyciągnął zwitek papieru - mam od niego bardzo dobre referencje.

Rzeczywiście, na kartce nabazgrane było młodzieńczą ręką kilka zdań w stylu: "Na początku był GLUT... Glut był, jest i będzie, natura jego jest niepoznawalna..." i tak dalej. Przebijająca z nich głęboka wiara, a z charakteru pisma - pewność siebie i zdecydowanie. Tego właśnie potrzebowałem.

- Dobrze, zgadzam się - stwierdziłem w końcu. - Może pan zacząć od zaraz.

* * *

Genetyczny Absolut był świeżo powstałym bogiem. Jak zwykle w takich wypadkach, powołał go do życia niezbyt zrównoważony psychicznie dojrzewający młodzieniec, który po odrzuceniu religii ojców znalazł się w mistycznej pustce. Niestety, chłopak nie przykładął zbyt wielkiej wagi do swoich wewnętrznych przeżyć, stąd niezbyt szczęśliwa forma boga. Po prostu, Glut jako idea był niedopracowany, brakowało mu szczegółów, jakiegoś wypełnienia głębszą myślą czy tradycją. Może z biegiem lat wyrośnie na porządne bóstwo, ale na razie daleko mu było do tego. Stąd też Glut skazany był na nieszczęsne bytowanie na najniższym szczeblu drabiny społecznej, przeskakiwanie od jednego niewdzięcznego wyznawcy do drugiego. Nie mógł też zbyt wiele żądać za swe usługi, gdyż po prostu nie był w stanie wiele zaoferować.

- Nie masz, niestety, co liczyć na poczucie wspólnoty - wyjaśnił mi, gdy przeszliśmy już na ty - zabieg niezbędny dla stworzenia między nami odpowiedniej więzi - Ani na zakotwiczenie w wielowiekowej tradycji... Odpadają więc podstawowe zalety innych, lepiej zorganizowanych religii. No, ale oni sobie za to sporo liczą, sporo liczą...

Gdy pytałem go, jakie ma marzenia, pogrązał się w melancholii.

- Chciałbym, żeby kiedyś postawili mi kiedyś świątynię. Albo chociaż kapliczkę. Przydrożną. Nic wielkiego. Coś, gdzie mógłbym się schronić przed deszczem, przenocować, przeczekać trudne czasy. Oczywiście, minie wiele pokoleń, zanim coś takiego nastąpi. Ale ja jestem cierpliwy...

Trzeba przyznać, że jako bóg i doradca psychologiczny sprawdzał się doskonale. Odkąd zacząłem w niego wierzyć, wszystko zaczęło mi się udawać. Sąsiedzi i znajomi nie poznawali mnie. Zacząłem, jak to się mówi, "bywać". Złożyłem papiery na renomowaną uczelnię. Mojemu bogu bardzo się to wszystko podobało, cieszył się wraz ze mną. Czasami odczuwałem potrzebę jakiegoś bliższego z nim kontaktu. Spisałem niewielką modlitwę, którą odmawiałem ilekroć nie było go przy mnie w trudnej sytuacji. Gdy wracałem do domu, widziałem, jak rośnie w oczach, jak luki i braki w jego postaci stopniowo wypełniają się. Byłem idealnym wiernym.

Wszystko, co dobre musi się jednak kiedyś skończyć. Pewnego dnia spotkałem JA. Zafascynowałem ją swoją pewnością siebie, śmiałym spojrzeniem, tym, że wszystko mi się udaje. Zaczęły się, jak to zwykle bywa, długie spacer, wieczory w kawiarniach... pewnego dnia przyprowadziłem ją do domu.

Rano, gdy wyszła, zauważyłem, że mój bóg jest jakiś markotny. Siedział na parapecie i spoglądał w niebo. Przyjrzałem mu się - znowu zaczynał prześwitywać, znowu jakby zapadł się w siebie.

- Co się stało ? - spytałem, trochę zaniepokojony. Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć?

- Ech, nic... - westchnął ciężko - Widzę tylko, że moje zadanie w tym domu dobiega końca. Wkrótce będę musiał cię opuścić.

- Co mówisz? Dlaczego? Czy nie spełniłem warunków? Czy coś zaniedbałem? Nie opuszczaj mnie, boże!

- To nie to... ja nie chcę odchodzić. Jest mi tu dobrze. Jesteś jednym z najlepszych wyznawców, jakich miałem. Ale wkrótce przestaniesz mnie potrzebować. Będzie ci za dobrze. Zawsze tak jest. Może jestem za dobry w tym co robię, ale ja po prostu nie mogę inaczej. Zawsze staram się, by życie moich wyznawców toczyło się jak najlepiej. A potem... potem zapominają o mnie, wyrzucają na śmietnik.

- To nieprawda. Nigdy tak nie zrobię, przecież mnie znasz. Owszem, w natłoku obowiązków może czasem mi się zdarzy, ale...

-Przestań - podniósł rękę - Za miesiąc, dwa, zapomnisz o mnie, albo wmówisz sobie, że byłem tylko tworem twojego umysłu, a to, co osiągnąłeś, zawdzięczasz wyłącznie sobie. Nie protestuj. Myślisz, że inni bogowie tego nie przechodzą? Nawet ci najwięksi? Tylko na inną skalę, oczywiście. - rozpędził się, zaczął opowiadać, nie zwracając już na mnie uwagi - Kiedy jakieś społeczeństwo, jakaś cywilizacja wchodzi w fazę racjonalizmu, zapomina o bogach, których powołała do życia w ramach wielkiej terapii w ciężkich, trudnych czasach. Spycha ich na margines. Ale my nie narzekamy. Wiemy, że kiedyś znowu będziecie nas potrzebować, gdy tylko coś zacznie się psuć, coś wam zagrozi, znów zaczną się nawrócenia, znów będą pełne świątynie...

Przerwał i znowu się skulił.

- Przepraszam, zagalopowałem się - mruknął - To po prostu trochę mnie irytuje za każdym razem. Ale postaram się nie psuć ci humoru. Pomieszkam tu jeszcze jakiś czas, dopóki nie stwierdzisz ostatecznie, że mnie nie potrzebujesz.

Nie chciałem się z nim zgodzić, ale w końcu okazało się, że miał rację. Kiedy wprowadziła się ona, kiedy zacząłem wymagające studia i pochłaniającą mnie niemal całkowicie pracę, zapomniałem o nim. Nawet nie zauważyłem, kiedy zniknął. Dopiero po kilku tygodniach znalazłem w papierach jakieś swoje stare notatki, zapisy modlitw, szkice traktatu teologicznego... miałem z tego trochę śmiechu, nieco wspomnień, w końcu jednak wszystko spaliłem.

Spotkałem go później jeszcze raz. Siedział na ramieniu jakiejś długowłosej dziewczyny, grającej na skrzypcach w przejściu podziemnym. Wyglądał na zadowolonego, dobrze odżywionego. Z twarzy dziewczyny bił optymizm, mimo skromnej ilości błyszczących krążków w leżącym przed nią futerale. Pozdrowiłem go skinieniem głowy i rzuciłem pięć złotych. Machnął przyjaźnie skrzydłem.

- Teraz pracuję na dwie zmiany! - zawołał radośnie. - Mam już dwójkę wyznawców!

- Moje gratulacje. Wpadnę kiedyś do świątyni, gdy już ci ją postawią.

Roześmieliśmy się obaj.

Poszedłem w swoją stronę. Zaczynał się przyjemny wieczór.

Koniec